

STULECIE BARTOSZEWSKIEGO



• **W Auschwitz** FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŻYJ SZYBKO, ALE NIE UMIERAJ MŁODO

Wzięli go za Żyda, kazali sprzątać ulicę. Mógł pokazać medalik z Matką Boską, nie pokazał.

Andrzej Brzeziecki

W stalinowskim więzieniu Niemcy nazywali go Maschinengewehr – karabin maszynowy, bo szybko mówił. Polscy kryminaliści mówili nań Zatopek, od biegacza Emila Zatopka, bo Bartoszewski ciągle biegał. Dawno temu, bo przed 40 laty, Władysław Bartoszewski kończył sześćdziesiątkę. Urządzono uroczystość. Bardzo wyjątkową, bo w obozie dla internowanych w Jaworzu. Trwał stan wojenny, a Bartoszewski, co już nie było takie wyjątkowe, był więźniem. Atmosfera była pogodna. Przemawiający Andrzej Szczypiorski dociekał, czy jubilat ma jakieś wady. „Otóż ma – brzmiała konkluzja – bo jest pełny i prawdziwy. Bywa niezdolnie gadatliwy, ma obsesję szczegółu, niekiedy czuje się dotknięty bez uzasadnienia”. Bartoszewski lubił siebie. Pieczolowicie dokumentował własne życie – zdążył zresztą swoją biografię sprzedać kilka razy paru

wydawnictwom. Czy to złe? Gorzej, że wielu z nas nie chce z tej biografii wyciągnąć wniosków.

BARTOSZEWSKI NIE UCZY SIĘ MATEMATYKI

„Byłem tak wychowywany, żeby się nie dać. Dziecko ruchliwe, wynalazcze i dosyć samodzielne” – wspominał. Tak się złożyło, że do szkoły poszedł o rok wcześniej – musiał więc udowodnić starszym kolegom, że jest im równy. Dzieciństwo miał całkiem pogodne. Należał do pierwszego od ponad stu lat pokolenia Polaków urodzonych we własnym państwie. Jego ojciec, także Władysław, wywodził się z chłopstwa – do wszystkiego doszedł sam. Był urzędnikiem Banku Polskiego. Wiara czy narodowość nie miały dlań znaczenia. Jeśli dzielił ludzi, to na uczciwych i pracowitych oraz na tych pozostałych. Małomówny, trochę oddalony – uważał, że jeśli syn nie jest głodny, ma w co się ubrać i ma zapewnioną edukację, to zupełnie wystarczy. Znacznie lepszy kontakt młody Władek miał z matką Beatą z domu Zbiegniewską, wywodzącą się ze zubożałej szlachty. Opiekowały się nim też nianie – jedna z nich straszyla go bolszewikami. Rodzina przeprowadzała się co jakiś czas. W latach 20. Bartoszewscy mieszkali blisko Nalewek – słynnej żydowskiej ulicy. Mały Władek bawił się z tamtejszymi dziećmi. Rozumiał trochę jidysz. Słyszał



nieraz, jak mamy wołają do swych pociech, by nie bawily się z „tym głupim gojem”. Nieopodal jego domu przy ul. Bielańskiej stała duża synagoga, zaś przy ul. Daniłowiczowskiej znajdował się gmach więzienia śledczego. „Synagoga i więzienie już w dzieciństwie odcisnęły się na moim życiu...” – pisał. Rodzice nie mieli przesadnych pretensji intelektualnych. W domu książek nie było wiele – klasyka oraz poradniki. Chodził za to do dobrych katolickich szkół i miał dobrych wychowawców. Jeden kupił mu raz komplet dzieł Prusa – chłopak, zgodnie z umową, spłacał go potem z kieszonkowego. Bo młody Bartoszewski dużo czytał – kosztem sportu i życia towarzyskiego. Zapowiadał się na humanistę. Jako 12-latek chciał być geografem. „O ile nie będę mógł zostać geografem, bo w życiu różnie się warunki układają, pragnąłbym zostać reporterem” – pisał w gazetce „Moje Pisemko” w czerwcu 1934 r. Jak deklarował, lubił pisać sprawozdania, fotografować i miał niezłą wymowę, czytał już po niemiecku „różne książeczki”. Z przedmiotów ścisłych szło mu gorzej. Matematyk Witold Sosnowski załamywał ręce. Bartoszewski spotkał go później w Oświęcimiu – wychudzonego i wyniszczonego. Więźniowie tulili się do siebie, próbowali się ogrzać, nacierali plecy – a Sosnowski nagle zapytał: „Powiedz, czy

• **Zakopane, po wyjściu z więzienia, lato 1954**
FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA BARTOSZEWSKIEGO

STULECIE BARTOSZEWSKIEGO

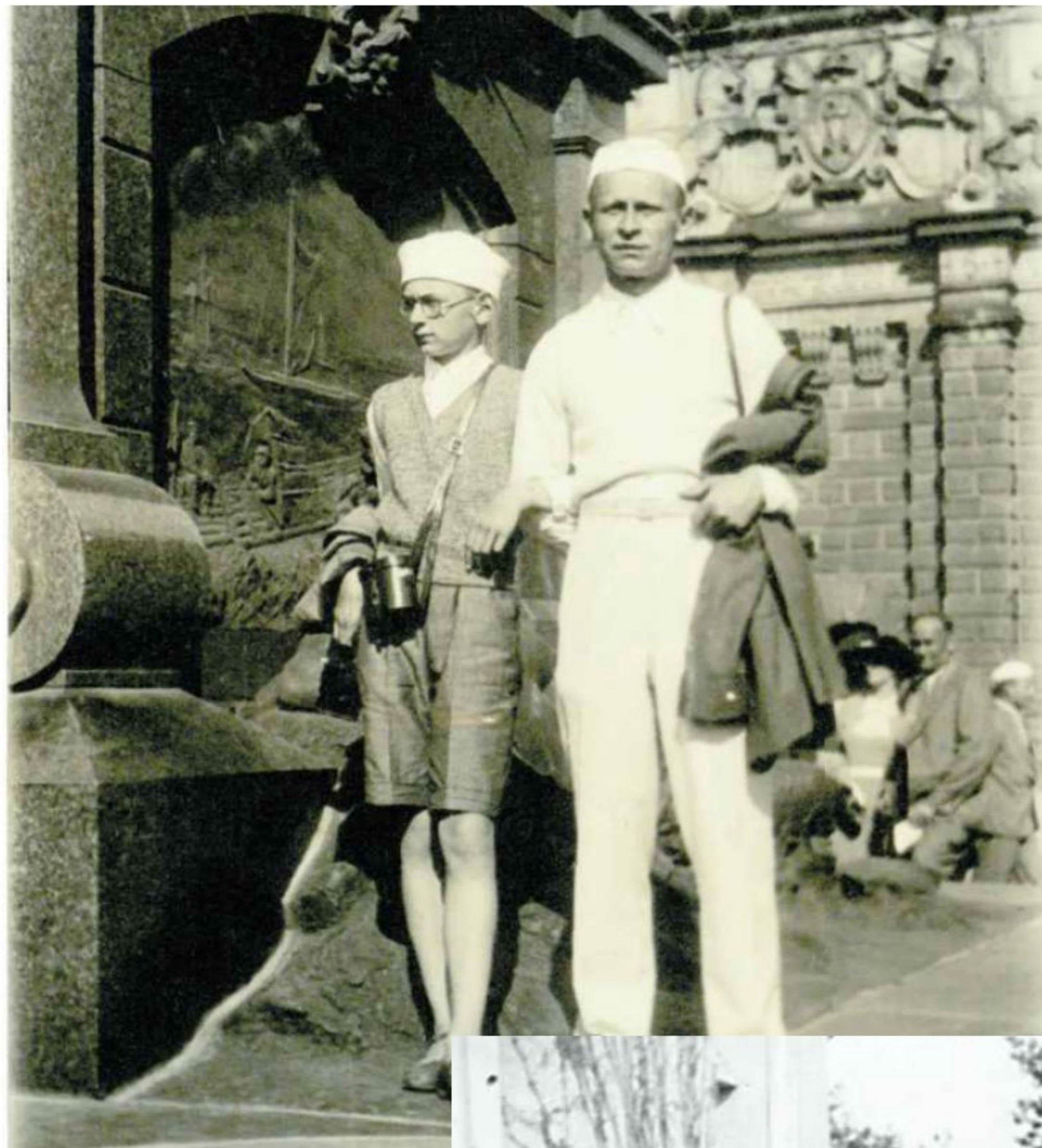


• **Półtoraroczny Władek z matką, 1 września 1923**

FOT. ZBIORY ZAKŁADU
NARODOWEGO
IM. OSSOLIŃSKICH

• **1959, w redakcji „Stolicy”**

FOT. TADEUSZ ROLKE /
AGENCJA WYBORCZA.PL



• **Z ojcem w Wolnym Mieście Gdańsku, lato 1934**

FOT. ZBIORY ZAKŁADU
NARODOWEGO
IM. OSSOLIŃSKICH



• **Tadeusz Gajcy i Władysław Bartoszewski, 1942**

FOT. ZBIORY MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS



• **1967, na Pawiaku** FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Lata 80., Wiedeń, Stanisław Lem i Władysław Bartoszewski**

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA/EAST NEWS



ty nie mogłeś się tej matematyki nauczyć, czy nie chciałeś?”.

Z obozu Witold Sosnowski nie wyszedł żywy.

Bartoszewski zdawał maturę w maju 1939 r., gdy stosunki II RP z Niemcami uległy drastycznemu pogorszeniu. Hitler wypowiedział umowę o nieagresji, Józef Beck 5 maja w Sejmie stwierdził, że Polacy mają swój honor i nie znają pojęcia pokoju za wszelką cenę. Maturzysta Bartoszewski, który akurat rozważał wstąpienie do jezuitów, był pewien, że wojna będzie krótka i zakończy się wraz z wkroczeniem Polaków do Berlina.

BARTOSZEWSKI ZOSTAJE ŻYDEM

Tymczasem niemieckie czołgi podeszły pod Warszawę już 6 września. Miasto było bombardowane. Bartoszewski pomagał w służbach sanitarnych jako noszowy. To było jego pierwsze spotkanie z śmiercią – wraz z innym człowiekiem niósł raną w brzuch kobietę. Trzeba się było spieszyć, ale nadleciały samoloty. „Położyliśmy się na ziemi (...) nie zapomnę do końca życia tych paru sekund, gdy pociski z broni maszynowej uderzały o metr nad nami. (...) Kiedy wstaliśmy, kobieta na noszach już nie żyła”.

Do szpitala brakło 500 metrów.

Stolica skapitulowała 28 września.

Zaczęło się odgruzowanie ulic – by Hitler mógł przyjąć defiladę. Goniono do tej roboty głównie Żydów. „Miałem duży nos, byłem wychudzony, nosiłem okulary...” – wspominał Bartoszewski, którego wzięto za Żyda i któremu kazano pracować. Spostrzegł wówczas innego Polaka, który pokazywał medalik z Matką Boską i mówił: „Kein Jude, kein Jude”.

„Na miłość boską, to przecież zwykłe świństwo. Ci ludzie już zaczynają się dystansować od Żydów” – pomyślał. Zbulwersowało go, jak łatwo przyszło Niemcom segregować ludzi na lepszy i gorszy sort. Co będzie dalej?

Miał podobny medalik, mógł się wykpić, ale został i czyścił ulicę. Twierdził później, że nie był to jakiś przemyślany gest – raczej odruch solidarności. Ale właśnie ten jeden, w sumie drobny i może nawet nie do końca świadomy, gest sprzeciwu młodego chłopaka wobec dzielenia ludzi i zaslania się przy tym Matką Boską, był fundamentem całej późniejszej biografii Bartoszewskiego. Wówczas narodził się Sprawiedliwy.

Wiara w pomoc zachodnich sojuszników opadła wraz z liśćmi z drzew. Trzeba się było szykować na długie trwanie. Zimą chwycił mróz, pieniądze traciły na wartości, jedzenia było mało. Bartoszewscy musieli wynająć jeden pokój na Chłodnej – w żydowskim domu.

Władysław, lat 18, czuł się obciążeniem dla rodziny. Chciał pracować, ale miał dwie lewe ręce, a humanistów nikt nie potrzebował. W końcu właściciel mieszkania zaproponował mu współpracę – jego sklep był zamknięty, ale można było towar sprzedać na ulicy. On, Żyd, musiał już nosić opaskę, był przeganiany – Polakowi będzie łatwiej. Bartoszewski dostał walizkę pełną damskiej bielizny, o której, mimo swego oczytania, nie miał wielkiego pojęcia. Wstydził się reklamować towar wśród przechodniów. Szczęśliwie kobiety same podchodziły.

Sprzedając majtki i staniki, zarobił pierwsze pieniądze.

BARTOSZEWSKI DOSTAJE NUMER 4427

Musiał jednak znaleźć legalne zatrudnienie. Był już pełnoletni i istniała obawa, że Niemcy wezmą go do pracy przymusowej. Ojciec pomógł mu zatrudnić się w Czerwo-

nym Krzyżu. Rodzina tymczasem przeniosła się na Żoliborz. Sytuacja wydawała się względnie stabilna. Bartoszewski pracował w przychodni, czuł, że robi coś sensownego. Zarabiał niewiele, ale zawsze. Miał legitymację PCK – ważny i cenny dokument.

Gdyby tylko...

Gdyby tylko miał jeszcze pieczętę niemiecką. O świcie 19 września 1940 r. Niemcy weszli do mieszkania Bartoszewskich. Aresztowano Władysława w ramach akcji AB wymierzonej w polską inteligencję – tamtego dnia los taki spotkał około 2 tys. Polaków. Zwieziono ich do koszar SS. Tam sprawdzano dokumenty.

„W oczach niemieckiego oficera dokument bez niemieckiego orła nie miał żadnej wartości. Zostałem uznany za bezrobotnego”.

Trafił do Oświęcimia – oczywiście w bydlęcym wagonie, bez wody i toalety. Trzeba było robić pod siebie.

Nikt wówczas nie wiedział, co to znaczy Oświęcim. Bartoszewski, widząc bramę z napisem „Arbeit macht frei” oraz komin, uspokoił się – to tylko fabryka...

Widząc bramę z napisem „Arbeit macht frei” oraz komin, uspokoił się – to tylko fabryka...

Dostał numer 4427, spodnie w paski i zakrwawioną kurtkę wojskową. Pomyślał: „Żołnierz zginął, a jego kurtka posłuży za opakowanie żyjącego trupa. Nieźle”.

Jeszcze żywił nadzieję. „Tak: obóz, grubiaństwo, brutalność, wyzysk nawet, ale zagłada? Byliśmy poniżani, ale zdawało się, że naszemu życiu nic nie grozi”.

Komendant Karl Fritsch szybko wyjaśnił nieporozumienie. Wskazał na komin i rzekł: „Wszyscy pójście do krematorium. 3 tysiące stopni ciepła”.

Wówczas rozegrała się scena, którą Bartoszewski zapamiętał na całe życie. Kapo – głównie niemieccy więźniowie kryminalni, bardzo brutalni – wyciągnęli z szeregów jednego z więźniów i zaczęli go katować. „Stało nas tam z 5 tysięcy mężczyzn, wypreżonych na baczność. Byliśmy widzami, żaden z nas nic nie zrobił. Uważam to dziś za życiowy wstyd, choć rozumiem to wszystko”.

Innym razem, po ucieczce jednego z więźniów, zwolano apel. Więźniowie stali na baczność kilkadziesiąt godzin. Kto nie wytrzymał, padał. Innych wciągano i bito. Apel kosztował życie ponad 150 ludzi.

BARTOSZEWSKI SPOTYKA KSIĘDZA

Bartoszewski w Oświęcimiu zaznał wiele złego i dużo dobrego. Widział trupy, widział przemoc. Głodował. Zdarzał się blokowy Polak sadysta, zdarzały się gesty solidarności. Pracował. Najpierw okładał darnią krematorium nr 1. Potem nosił deski, ciągnął betonowe słupy, wyladowywał wagony. Wszystko w biegu. Esesmani dodatkowo kazali więźniom nosić cegły w lewej ręce – taki żart. Bartoszewski tracił siły. Miał odmrożone dłonie. Gorączkował, na ciele wystąpiły wrzody.

Niemal nieprzytomnego zaniesiono go do ambulatorium. Trafienie tam było ryzykowne. Chory, czyli niezdolny do pracy, a więc zbędny. Miał szczęście. Dużo szczęścia. Polski lekarz zapisał w karcie, że ma zakaźną chorobę skórą – Niemcy takich więźniów się bali i ich omijali. W szpitalu spędził Boże Narodzenie 1940 r. Pierw-

sza Wigilia w niewoli – w całym jego życiu zbiera ich się dziewięć.

Jedno łóżko przypadało na dwóch chorych. „Byłem tam najmłodszy. Koledzy odnosili się do mnie po ojcowsku”. W kwietniu ’41 został zwolniony – starania rodziny i Czerwonego Krzyża przyniosły skutek. W drodze powrotnej w pociągu dwie uczennice poczęstowały go kanapkami, w samej Warszawie dorożkarz odwiózł go do domu za darmo. Te gesty zostały w pamięci.

Czekała go długa walka o zdrowie – miał m.in. zakażenie krwi. Wśród opiekujących się nim była znajoma harcerka Hanka Czaki. To ona spisała jego relację, która potem stała się jednym ze źródeł pierwszej wydanej w konspiracji publikacji na temat Auschwitz. Wkrótce poznał Zofię Kossak, katolicką publicystkę, która namówiła go do współpracy. Równie ważna okazała się rozmowa z ks. Janem Zięją, który przekonał Władysława, że ocalał, by pomagać innym: „Ludzie, którzy potrzebują twojej pomocy, przyjdą do ciebie sami, sami się znajdą, jeśli będziesz uważnie patrzył”.

I znaleźli się.

W 1942 r. Bartoszewski – jak potem twierdził – zaczął nowe życie. Pomagał Żydom potrzebującym schronienia i dokumentów, zbierał materiały dla podziemia. Latem został zaprzysiężony w AK – jako „Teofil” służył w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej. W BiP poznał Kazimierza Moczańskiego.

W listopadzie rozpoczął pracę dla komórki więziennej Delegatury Rządu – jej zadanie polegało na kontakcie z więzionymi i udzielaniu im wsparcia. Dzięki informacjom na temat przesłuchań można było zapobiec dalszym aresztowaniom i wypadkom. Tak było w przypadku Hanki Czaki – dziewczynę aresztowano, była katowana, ale zdołała przekazać informację, że trzeba oczyścić skrytkę w jej mieszkaniu. Bartoszewski brał udział w dość brawurowej akcji włamania i zabezpieczenia dokumentów.

Ratował życie, ale i jemu je ratowano. Pewnego razu urzędniczka poczty przejęła donos na niego do gestapo. Kapuś informował o pomocy Żydom i podawał adres.

Gdy wybuchło powstanie, Bartoszewski był w samym centrum Warszawy. Obsługiwał radiostację „Anna”, która służyła wymianie informacji. Śródmieście walczyło najdłużej. Bartoszewski spędził w powstaniu 63 dni.

BARTOSZEWSKI DOSTAJE OSIEM LAT

Gdy powstanie zostało stłumione, Bartoszewski – jako członek konspiracyjnej organizacji Nie, przewidzianej już na okupację radziecką – wydosłał się z miasta. Nie chciał iść do niewoli, choć Niemcy obiecywali dobre traktowanie – wspomnienie Auschwitz było zbyt mocne. Armię Czerwoną witał w Krakowie. Zmęczony konspirowaniem ujawnił się w październiku 1945 r.

Włączył się w działalność PSL Stanisława Mikołajczyka – pracował w redakcji „Gazety Ludowej”. Właśnie wtedy przystąpił do dzieła, które miało mu dać prestiż i międzynarodowy rozgłos – dokumentował życie okupowanej stolicy oraz los Żydów. Począwszy od 1946 r. opubliko-

wał kilkaset tekstów i kilka książek będących efektem prac dokumentacyjnych i historycznych. Wiele lat później Kisiel napisał w „Tygodniku Powszechnym”: „W Polsce wszyscy prócz Władka Bartoszewskiego wszystko zapominają”.

Urząd Bezpieczeństwa jednak o nim nie zapomniał – został aresztowany pod koniec 1946 r. Za kratkami poznał świat kryminalistów. Jeden z nich, niejaki Edziu, nie mógł przeboleć, że Bartoszewski, mając takie długie i chude palce, zmarnował szansę na karierę – byłby świetnym kieszonkowcem!

Przesiedział do wiosny ’48. Wolność zawdzięczał jednej ze współpracowniczek Rady Pomocy Żydom, a teraz ważnej figurze w Ministerstwie Sprawiedliwości. Zapisał się na Uniwersytet Warszawski, ale nacieszył się tym tylko do grudnia 1949 r. Prokurator zapowiedział mu, że tym razem posiedzi dziesięć lat. W śledztwie go nie bito, ale spędził 11 miesięcy w celi w piwnicy UB bez spacerów. Wśród współlokatorów miał esesmana czekającego na wykonanie wyroku śmierci.

Minęły niecałe dwa lata – i kolejny wyrok. Osiem lat za szpiegostwo. Wiedział już, że gdy w więzieniu pytają osadzonego, czy na czymś się zna, należy ochoczo potwierdzać. Zgłosił się do więziennej drukarni, w której Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, zakładając, że pracownicy prędko nie będą mieli kontaktu ze światem, drukowało tajne materiały – w tym wewnętrzne instrukcje. Dzięki ich lekturze Bartoszewski zorientował się, że po śmierci Stalina zapowiada się odwilż, gdyż instrukcje zalecały łagodniejsze traktowanie więźniów.

Raz wstał się za Żydem, któremu inni dawali w kość – ten z wdzięczności polecił go adwokatowi Jerzemu Meringowi. Mering pomógł – w 1955 r. uznano go za niesłusznie skazanego. W wieku 32 lat Władysław Bartoszewski po raz kolejny rozpoczął życie.

BARTOSZEWSKI TRACI 700 KILOGRAMÓW KSIĄŻEK

Znalazł zatrudnienie w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, później związał się z tygodnikiem „Stolica”. Znów publikował na temat okupacji, niemieckiego terroru i oporu Polaków i Żydów. Coraz więcej łączyło go z ludźmi „Tygodnika Powszechnego” i gdy w 1960 r. wyrzucono go ze „Stolicy”, Krzysztof Kozłowski, zastępca Jerzego Turowicza, zaproponował mu pracę. Klub Krzywego Koła zapraszał go na odczyty.

Bartoszewski był w awangardzie publicystów opisujących lata wojny i Zagładę. Nie była to sprawa łatwa – władza narzucała narrację, jakoby w walce z okupantem największe zasługi mieli komuniści. Mieli także ponieść największe ofiary. Mrówczą pracą Bartoszewski przeciwstawiał się – jak dziś byśmy powiedzieli – polityce historycznej państwa. Jednocześnie współtworzył trochę zbyt idealistyczny obraz solidarności polsko-żydowskiej, nie godząc się na szkalowanie akowskiego podziemia. Dziś wiemy, że rzeczywistość była bardziej skomplikowana.

W 1963 r. po raz pierwszy pojechał do Izraela – spotkał tam wielu dawnych towarzyszy niedoli. Trzy lata później otrzymał w Yad Vashem tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

W 1967 r. – akurat gdy państwa arabskie najechały Izrael i w przededniu antysemickiej nagonki w Polsce – ukazała się książka „Ten jest z ojczyzny mojej”, zawierająca relacje na temat pomocy Żydom w czasie wojny. Bartoszewski był jej współredaktorem wraz z Zofią Lewinówną i autorem wstępu. Józef Czapski pisał w „Kulturze”: „Dzisiejsze zarządzenia w Polsce nie wytrzymają konfrontacji z ładunkiem brater-

stwa tej Złotej Księgi Bartoszewskiego i Lewinówny”.

Międzynarodowe uznanie, na które nałożyło się poluzowanie reżimu za Gomułki, sprawiło, że Bartoszewski zaczął wyjeżdżać na Zachód – tak nawiązał przyjaźnie w Austrii, Niemczech i Wielkiej Brytanii. Jeszcze w 1963 r. skontaktował się z Tadeuszem Żenckowskim – dawniej przełożonym z BiP, teraz zastępcą Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Radiu Wolna Europa. Przez następne niemal dwie dekady był jednym z najbardziej tajnych współpracowników rozgłośni z Monachium. Różnymi kanałami, także poprzez zachodnich dyplomatów, przekazywał informacje na temat sytuacji w Polsce.

Służba Bezpieczeństwa deptała mu po piętach. W IPN zachowały się materiały z jego inwigilacji. W 1970 r. dyrektor III Departamentu MSW informował: „Jak obecnie ustalono, inspiratorem przekazywania paszkwilanckich informacji do »Wolnej Europy« jest Władysław Bartoszewski”.

Na początku października smutni panowie wkroczyli do jego mieszkania. Zabrali ze sobą około 700 kilogramów książek i innych druków. Oraz Władysława – w grudniu usłyszał zarzut współpracy z antypaństwowymi siłami z RWE. Od procesu wybawił go upadek Gomułki i „wspaniałomyślność” nowej ekipy Gierka. Wspaniałomyślność miała jednak granice – Bartoszewski objęty był zakazem druku (publikował jedynie w specjalistycznych pismach) i nie miał co marzyć o paszporcie. Założono mu za to w mieszkaniu podsłuch. Teczki na temat Bartoszewskiego zachowało się w IPN kilkanaście metrów.

Dopiero po trzech latach w Znaku ukazało się jego monumentalne kalendarium „1859 dni Warszawy”. RWE uzna je za najlepszą książkę wydaną wówczas w Polsce.

Związał się z Katolickim Uniwersyteciem Lubelskim – jako gość prowadził tam wykłady i zajęcia. Później bywał – choć nie miał za sobą tradycyjnej ścieżki akademickiej, nie ze swojej winy – wizytującym profesorem na zachodnich uczelniach.

BARTOSZEWSKI ZAPRZYJAŻNIA SIĘ Z NIEMCAMI

Jeszcze w latach 60. zaczął przerzucać mosty między Polakami a Niemcami i Austriakami. Wraz z przyjaciółmi ze środowiska Znaku szukał kontaktów nad Dunajem i w obu państwach niemieckich. Nieufność po obu stronach była spora, a przeszkody administracyjne i żelazna kurtyna nie ułatwiały zadania. Szczęśliwie środowiska chrześcijańskie podchwyciły temat. W grudniu 1972 r. odbyło się seminarium w Oświęcimiu, które zapoczątkowało całą serię spotkań. Bartoszewski mówił: „Nie ma uczciwego i rzeczywistego pojednania bez świadomej znajomości przeszłości”.

Jednym z najbliższych przyjaciół Polaka był w tamtym czasie Kurt Skalnik, najpierw redaktor tygodnika „Die Furche”, potem współpracownik prezydenta Austrii. Gdy Bartoszewski przylatywał do Wiednia, Skalnik wysyłał po niego prezydencki samochód.

W latach 70. Bartoszewski idzie ramieniem z opozycją demokratyczną w Polsce. Protestował przeciw zmianom konstytucji, współtworzył Towarzystwo Kursów Naukowych – za wykłady na Uniwersytecie Łatającym władze ukarały go grzywną. W 1979 r. witał Jana Pawła II w Polsce, a w sierpniu 1980 r. podpisał list intelektualistów w sprawie strajków. Wstąpił do „Solidarności”. III Program Polskiego Radia zaprosił go do studia na cykl audycji o powstaniu warszawskim.

Równocześnie dużo jeździł po świecie – głównie odbierał nagrody, brał udział w prestiżowych konferencjach, wygłaszał odczyty. Kolonia, Londyn – w 1977 r. był gościem rządu Jej Królewskiej Mości – Nowy Jork, Tel Awiw, Wiedeń... Samo wyliczenie przyznanych mu przez całe życie odznaczeń na świecie byłoby dłuższe niż ten artykuł.

W Londynie namawiano go, by został prezydentem Polski na uchodźstwie. Uchylił się od tego zaszczytu – później przyznał, że z jego ówczesnymi dochodami po prostu nie było go na to stać, ale nie wypadało mu tego powiedzieć otwarcie.

Idylla skończyła się 13 grudnia 1981 r. Gdy przyszła milicja, Zofia Bartoszevska, widząc nakaz internowania, zapytała: „Co to ma znaczyć?”. Bartoszewski wyjaśnił żonie: „Obóz koncentracyjny, nie pamiętasz o Oświęcimiu?”.

Osadzono go w Jaworzu wraz z innymi intelektualistami. Jako doświadczony pensjonariusz tego typu przybytków Bartoszewski szybko zagonił młodszych kolegów do pracy: „To będzie nasze mieszkanie na najbliższe miesiące. Wiem, że to nieprzyjemne sprzątać toalety i łazienki, ale ustalimy kolejne dyżury”. Sam zaczął od klozetów.

Międzynarodowe interwencje sprawiły, że wyszedł na wolność wiosną 1982 r. Znów objeżdżał świat – wykladał w Monachium, odbierał doktorat honoris causa Baltimore Hebrew College. W Niemczech Zachodnich był już rozpoznawalną postacią – wydawano tam jego książki, zapraszano go do telewizji.

BARTOSZEWSKI CZUJE SIĘ MĘŻEM STANU

Przełom 1989 r. zastał go w Augsburgu, gdzie gościnnie wykladał. „Pierwszy niekomunistyczny”, czyli Tadeusz Mazowiecki, choć doskonale znał Bartoszewskiego, nie złożył mu żadnej propozycji, mimo że rząd w Warszawie szykował się do przełomu w stosunkach z Niemcami. Później Bartoszewski przyznał się, że czekał na telefon z Warszawy – na próżno. Jesienią do Polski wybierał się kanclerz Kohl i to on zadzwonił doń z ofertą współpracy, ale Bartoszewski uznał, że byłoby to cokolwiek niezręczne. W efekcie historyczną mszę pojednania w Krzyżowej oglądał w telewizji – „nie bez kropli gorczy”.

Relacje refleksyjnego Mazowieckiego z wszędobyłskim i gadatliwym Bartoszewskim były mniej więcej takie jak stosunki depresyjnego Klapouchego z brykającym Tygrysiem w książkach o Kubusiu Puchatku. Premier, sam aktywny na polu po-

jednania z Niemcami, zapewne trochę się bał, że przyjaciel Kohla ukradnie mu show.

Wreszcie, już wiosną 1990 r., za namową żony Bartoszewski poprosił premiera o spotkanie. Pogadali chwilę, zagryzając herbatnikami. Na odchodnym Mazowiecki ni stąd, ni zowąd zakomunikował: „Właściwie to masz pójść do Wiednia”. „Ale czy ja się na tym znam?” – oponował zaskoczony. „A czy ja się na tym znam?” – odbił piłeczkę Mazowiecki.

Pod koniec września nowy ambasador RP w Wiedniu Władysław Bartoszewski złożył listy uwierzytelniające. Nad Dunajem z radością witała go cała elita państwa – znał tu dosłownie wszystkich. W przemarszu przed kompanią honorową towarzyszył mu stary przyjaciel Kurt Skalnik. Stolica Austrii jeszcze w czasie zimnej wojny wyrobiła sobie opinię dobrego miejsca do poufnych rozmów różnych międzynarodowych graczy. W ambasadzie Polski kierowanej przez Bartoszewskiego prowadzone były różne takie rozmowy. Sam ambasador dyplomatycznie o nich milczał. Możemy tylko zgadywać, że chodziło m.in. o relacje izraelsko-arabskie.

Bartoszewski na dobre wszedł do polityki. Po misji w Austrii został ministrem spraw zagranicznych, senatorem, znowu ministrem, doradcą premierów Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Identyfikował się z chadecją, ale blisko mu było do środowiska Unii Demokratycznej i potem Unii Wolności, gdzie skupili się jego towarzysze walki z komunizmem. Czuł się jednak raczej mężem stanu, wyrastającym ponad partię. Był indywidualistą, grał na siebie. Gdy Unia w 1995 r. zaproponowała mu, by był jej kandydatem na prezydenta, odmówił, ale dwa lata później wystartował z listy UW do Senatu. Gdy zaś w 2000 r. unicy wyszli z koalicji z AWS, Bartoszewski nie wahał się wziąć szefostwa dyplomacji po Bronisławie Geremku. W ten sposób legitymował rządy pogrążonej w chaosie prawicy. Czy motywował go instynkt państwowca, czy może także ambicja? Pewno jedno i drugie.

Niewątpliwie Polska pukająca do bram Unii potrzebowała takiego ministra spraw zagranicznych. Był wizytówką kraju. Swoją biografią zamykał usta tym, którzy prezentowali Polskę jako niepoważny i antysemicki kraj. A jednocześnie wystarczało, by w negocjacjach z Niemcami napomknął o swoim pobycie w Auschwitzu, a ci stawali się bardziej koncyliacyjni.

BARTOSZEWSKI USUWA NAZWISKO

Cieszyła go masowa popularność. U jej szczytu, na początku tego stulecia, oznajmił przyjaciółom z „Tygodnika Powszechnego”, przeżywającego wówczas spadek czytelnictwa, że teraz udzieli wywiadów tylko wysokonakładowym gazetom. Zresztą wkrótce zażądał usunięcia swego nazwiska ze stopki redakcyjnej – w proteście przeciw zatrudnieniu w redakcji skrajnie prawicowej dziennikarki znanej z napastliwych tekstów – także wobec niego.

Działo się to wszystko „za pierwszego PiS” – wtedy też zaangażował się w popie-

ranie PO, a właściwie bardziej w krytykowanie PiS. Był surowym recenzentem piśmowskiej dyplomacji. Prezydent Lech Kaczyński obraził się nań, gdy skrytykował bojkot Trójkąta Weimarskiego. To wtedy użył słynnego określenia „dyplomatolki”, którego prawica wciąż nie może mu wybaczyć. Dziś, gdy z mównicy sejmowej padają słowa o „mordach zdradzieckich”, widać, jak tamte słowa były niewinne i jak daleko zawędrował spór polsko-polski.

BARTOSZEWSKI SIĘ NIE ŻOŁĄDKUJE

„Żona zarzuca mi niekiedy nadmierny optymizm, bo lekceważę sytuacje trapiące, dokuczliwe. Macham ręką, przechodzę mimo – mając w pamięci to, co przeżyłem. Wtedy żona złości się troszkę i mówi, że nie można wszystkiego porównywać z obozem oświęcimskim, bo w ten sposób usprawiedliwiam różne współczesne idiotyzmy i podłości. Żona ma rację, ale tak to już jest...” – mówił w 2008 r. Zresztą oboje potrafili mieć dystans do trudnych przeżyć – gdy podczas wyborów w 1997 r. Bartoszewskiego, kandydata do Senatu, wyzywano od Żydów, pani Zofia skomentowała: „Znowu nam Władka pchają do gazu”.

Prezentował się jako pogodny i ruchliwy staruszek o życzliwym, a nie wątrobianym stosunku do świata.

W jego licznych wspomnieniach trudno znaleźć przyznanie się do popełnionego świństwa lub głupstwa, choć wydaje się, że – żyjąc blisko wiek – nie mógł się ich ustrzec. Gdy wygłaszał swoje credo: „Warto być przyzwoitym”, poniekąd wskazywał na siebie. Był człowiekiem instytucją, dobrem narodowym i dawał do zrozumienia, że doskonale o tym wie. Miał świadomość własnych dokonani i posiadania – niemal zawsze – racji, co mogło irytować. Ta słabostka wśród ogromu zalet czyniła go prawdziwszym. ●

Korzystałem m.in. z licznych książek autorstwa, współautorstwa lub pod redakcją Władysława Bartoszewskiego, Andrzeja Friszkego, Michała Komara, Andrzeja K. Kunerta i Reinholda Lehmana.



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Brzeziecki

• historyk i dziennikarz, autor książek: „Czeraniawski. Polak, który oszukał Hitlera”, „Białoruś – kartofle i dżinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji”. Ostatnio wydał książkę „Wielka gra majora Żychonia. As wywiadu kontra Rzesza”. Laureat nagrody im. Jerzego Turowicza